

Charles Dickens

Opowieść wigilijna





Charles Dickens

Opowieść wigilijna



Tytuł oryginału: ***A Christmas Carol***

Opracowanie tekstu na podstawie tłumaczenia Cecylii Niewiadomskiej pod tytułem *Wigilia Bożego Narodzenia* (Warszawa, 1909): **Anna Willman**

Korekta: **Zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety: **Mariusz Dyduch**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Ilustracje w książce: **Anna Jaroń**

Projekt okładki: **Anna Witwicka**

Zdjęcia na okładce | Dreamstime.com: © **Nopi Pantelidou**, © **Annnmei**,
© **Hd3dsh**; Freepik.com: © **rawpixel.com**

Wydanie I, 2020

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

Warszawa 2020



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN: 978-83-8222-183-1

Rozdział I

W kantorze

Marley nie żył od siedmiu lat. Nie było co do tego wątpliwości, bo akt jego śmierci podpisali doktor, proboszcz, pisarz parafialny, właściciel zakładu pogrzebowego i – co najważniejsze – jego wspólnik Scrooge. A podpis Scrooge’a zdaniem wszystkich kupców i bankierów był pewniejszą gwarancją niż najlepsza kasa ogniotrwała.

Scrooge i Marley byli wspólnikami od niepamiętnych czasów. Kiedy Marley umarł, Scrooge został jego spadkobiercą i wykonawcą testamentu. Przez całe życie był jego jedynym przyjacielem, a po śmierci jedynym człowiekiem, który pojawił się na jego pogrzebie.

Nie należy sobie tylko wyobrażać, że odejście przyjaciela zgnębiło przykładnego wspólnika lub zmało mu spokój umysłu. To właśnie podczas pogrzebu Scrooge, krocząc samotnie w jednoosobowym kondukcje żałobnym, wpadł na pomysł znakomitego interesu, który przyniósł mu znaczny dochód.

Piszę o tym wszystkim jedynie dlatego, aby czytelnik wiedział i pamiętał, że Marley nie żył już od siedmiu lat, gdyż inaczej historia, którą zamierzam opowiedzieć, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

Scrooge nie stał z szyldu nazwiska wspólnika, więc nad drzwiami kantoru błyszczał zawsze napis: *Scrooge i Marley*. Dom handlowy, który niegdyś razem prowadzili, znany był wszystkim pod tą właśnie nazwą. Tylko mniej świadomi interesanci i ci, którzy w branży handlowej byli nowicjuszami, nazywali niekiedy pana Scrooge’a Marleyem, on jednak wcale się tym nie przejmował i reagował na oba nazwiska.



Trzeba przyznać, że pan Scrooge miał głowę do interesów i trzymał je żelazną ręką. Kiedy raz już coś w nią pochwycił, nie wypuszczał, a potrafił jak nikt wyrwać, wykręcić, wydusić i wyszarpać wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Był to przy tym skąpiec nad skąpcami. Twardy jak kamień, a przy tym milczący i zamknięty w sobie. Lodowaty chłód serca skurczył mu oblicze, ścisnął szpiczasty nos, pomarszczył czoło, zapalił oczy zimnym blaskiem stali, zacisnął mocno wąskie sine usta. Sztywna postawa, głos suchy i skrzypiący, białawy szron na głowie, brwi i szpiczasty podbródek sprawiały, że był podobny do starego ostrego gwoźdźdza. Gdziekolwiek się pojawił, wiało chłodem. Nawet w największe upały w jego kantorze panowało przenikliwe zimno.

Kaprysy pogody nie miały dla niego żadnego znaczenia – gorące letnie słońce go nie grzało, mrozy nie mroziły. Żaden wiatr nie mógł być ostrzejszy i bardziej nieprzyjemny od niego. Niepogoda nie mogła mu dokuczyć – nawet najstraszliwsze ulewy, śniegi, grad i zawieruchy nie zwracały jego uwagi. Było mu wszystko jedno, byle interes szedł dobrze. Nikt nigdy nie zatrzymywał go na ulicy, aby zapytać z uśmiechem: „Jak się masz, kochany Scrooge? Co tam słyszać? A może wpadłbyś do nas na herbatę?”. Żaden żebrak nigdy nie poprosił go o jałmużnę, żadne dziecko nie zapytało, która godzina, a zbłąkany przechodzień o drogę. Chyba tylko psy towarzyszące niewidomym zauważały jego obecność, bo kiedy się zbliżał, odciągały swych panów, machając znacząco ogonem, jakby chciały powiedzieć: „Mój biedny panie, czasem lepiej nie widzieć, niż mieć oczy i patrzeć na kogoś takiego!”.

Lecz pan Scrooge wcale się tym nie martwił. Wręcz przeciwnie – on właśnie tego pragnął: wydeptać sobie ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym biegnie cały świat i ostrzegać przechodniów, aby nie włązili mu w drogę.

Pewnego razu, a była to wigilia Bożego Narodzenia – najpiękniejszy ze wszystkich dni roku – stary Scrooge siedział w swym kantorze, jak zwykle bardzo zajęty. Na zewnątrz panował dotkliwy chłód, świat spowijała gęsta lodowata mgła. Przechodnie chuchali w palce, rozcierali ręce, tupali o bruk, żeby choć trochę się rozgrzać. Było już całkiem ciemno, choć zegar

na wieży wybił dopiero trzecią. Światła ukazujące się w oknach wyglądały jak rude plamy na czarnym tle powietrza tak gęstego, że niemal można było je kroić. Mgła wciskała się do domów przez najmniejsze szpary i wszystkie dziurki od klucza, a budynki po obu stronach najciaśniejszej uliczki wyglądały w tej mgle jak posępne duchy.

Drzwi kantoru były otwarte, bo Scrooge chciał mieć na oku buchaltera pracującego w sąsiedniej izdebce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tlił się maleńki



ogień – lecz w izbie buchaltera na garstce popiołu żarzył się zaledwie jeden węgielek. Biedak nie miał odwagi dołożyć do paleniska w kominku, bo kosz z węglem stał w pokoju pryncypała, a za każdym razem, kiedy wślizgiwał się z łopatką po choćby kilka bryłek węgla, Scrooge wypominał mu, że doprowadza go do ruiny i groził, że jak tak dalej pójdzie, będzie go musiał zwolnić. Toteż nieszczęśliwy buchalter zawiązał na szyi wełniany szalik i próbował się ogrzać przy nikłym płomyczku świecy.

– Wesołych świąt, wujaszku! Niech cię Bóg błogosławi! – odezwał się nagle młody i dźwięczny głos. Należał do siostrzeńca Scrooge’a, który wpadł niespodzianie do kantoru, rozcierając zmarzniete ręce.

– E, tam! – rzekł Scrooge. – Głupstwo!

– Święta Bożego Narodzenia, wujaszku, to nie głupstwo. Na pewno nie chciałeś tego powiedzieć, prawda?

– Owszem, chciałem – potwierdził Scrooge.

– Wesołych świąt! Też coś! Niby dlaczego masz być wesoły? Nie ma powodu, żebyś się oddawał rujnującej wesołości. I tak jesteś dosyć ubogi.

– No, no! – zawołał siostrzeniec – a niby dlaczego ty, wujaszku, jesteś smutny i skwaszony? Dlaczego tracisz czas, tonąc w tych nudnych rachunkach? Przecież i tak jesteś dosyć bogaty.



– Głupstwo! – zawołał Scrooge, nie znajdując lepszej odpowiedzi. – Głupstwo! – powtórzył zirytowany.

– Nie złość się, wujaszku!

– Jak mam się nie złościć, skoro muszę żyć na świecie pełnym głupców i takich jak ty wariatów? Wesołych świąt! A idźcie wszyscy do licha z tą waszą wesołością! Czymże jest dla was Boże Narodzenie? Chwilą płacenia długów i rachunków, na które często nie macie pieniędzy. Momentem, kiedy sobie uświadamiacie, że jesteście starsi o rok, rok, w którym nie wzbogaciliście się nawet o grosz. Po sprawdzeniu ksiąg rachunkowych przekonujecie się w tym dniu, że w ciągu minionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam zysku. Gdyby to zależało ode mnie – dodał z narastającym oburzeniem – to każdego głupca biegającego od domu do domu z okrzykiem „wesołych świąt” na ustach wsadziłbym w kocioł, w którym się gotuje pudding, a potem pochował z gałązką choiny na sercu. Tak jest.

– Ależ wujaszku! – zawołał siostrzeniec – przecież święta Bożego Narodzenia...

– Siostrzeńcze – przerwał surowo starzec – obchodź sobie święta, jak ci się podoba, i pozwól mi obchodzić je na mój sposób.

– Ależ ty ich wcale nie obchodzisz, wuju.

– Tym lepiej. I daj mi już spokój. Wiele twoja wesołość przyniosła ci w życiu!

– Przyznaję, że nie zawsze umiałem korzystać z okoliczności, ale mniejsza o to. Wracając do świąt Bożego Narodzenia... Dla mnie to najpiękniejsza chwila w roku: chwila dobroci, przebaczenia uraz, zabawy, przyjemności. To dzień, w którym wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci cieszą się i radują. Zapominają o różnicy majątku i stanowiska, a w bliznich widzą tylko braci i towarzyszy pracy. Dlatego też, chociaż dzień ten nie przyniósł mi nigdy złota ani srebra, jestem za niego wdzięczny i z radością wołam: Niech będą pochwalone święta Bożego Narodzenia!

Buchalter, który przysłuchiwał się tej rozmowie w swej izdebce, mimowolnie uśmiechnął się i przyklasnął. Natychmiast jednak zorientował się, że palnął głupstwo, które nie spodobało się jego pryncypałowi.

Całkiem zmieszany chwycił za pogrzebacz, by poprawić palenisko i zagasił niechący ostatnią isierkę.

– Niech no jeszcze raz usłyszę podobną bzdurę – zawołał rozgniewany Scrooge, spoglądając w stronę buchaltera – to zamiast świątecznej kolędy dostaniesz pan dymisję! A co do ciebie – zwrócił się do siostrzeńca – jesteś znakomitym mówcą i dziwię się, że nie zasiadasz w parlamencie.

– Nie gniewaj się, wujaszku – rzekł siostrzeniec. – Lepiej przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge jeszcze bardziej się rozgniewał.

– A idź do diabła! Tak, właśnie. Idź do diabła! – krzyczał.

– Ależ dlaczego, wujaszku?... Dlaczego?...

– Po co się ożeniłeś? – zapytał Scrooge.

– Bo się zakochałem.

– Bo się zakochałeś! – mruknął Scrooge. – Głupstwo. Głupstwo! Dobranoc.

– Mój wujaszku, przecież zanim się ożeniłem, też nigdy mnie nie odwiedzałeś.

– Dobranoc – rzekł Scrooge.

– Nic od ciebie nie chcę, o nic cię nie proszę, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi?

– Dobranoc!

– Boli mnie, bardzo mię boli twoja zaciętość, wuju. Cóż mi możesz zarzucić? Przyszedłem dziś do ciebie dla uczczenia Bożego Narodzenia i pomimo przykrości, jaka mnie tu spotkała, będę się cieszył i radował. Tak więc, wuju, życzę ci świąt wesołych!

– Dobranoc! – syknął Scrooge.

Siostrzeniec wyszedł z pokoju bez słowa. Zatrzymał się jeszcze chwilę przed drzwiami buchaltera, by złożyć mu życzenia, a biedny człowiek, choć do szpiku kości przemarznięty, goręcej je przyjął niż stary Scrooge, i dziękując serdecznie, odprowadził gościa aż do sieni.

– A oto drugi głupiec i szaleniec – mruknął Scrooge z gniewem. – Mój buchalter. Ten nędzarz, który zarabia piętnaście szylingów tygodniowo,